

(Opowiadanie na konkurs:  
[http://www.proszynski.pl/Igrzyska\\_Humoru\\_im\\_\\_Toma\\_Holta\\_-n-420-1\\_2-.html](http://www.proszynski.pl/Igrzyska_Humoru_im__Toma_Holta_-n-420-1_2-.html))

„Pomieszanie z poplątaniem”

Jan Sławiński

1

Kiedy trafiła mnie pierwsza kula, zastanowiłem się, czy otwarcie drzwi coś by zmieniło. Pewnie nie. Upadłem. Przycisnąłem rękę do ramienia. Zacisnąłem zęby. Kula chyba wyszła z drugiej strony koło łopatki.

Wyłamali drzwi. Pięciu wielkich facetów, ubranych na czarno, każdy z gnatem w łapie.

Cholera.

Rzuciłem się na czworakach do pokoju.

Dobrze, że wyprowadziłem się od mamy, zostawiając jej stare mieszkanie. Chyba by nie ścierpiała, gdyby ta mafia zniszczyła jej nowo położone tapety...

Kawałek ściany został wyrwany, co przypomniało mi, że powinienem się martwić o siebie, a nie o tapety w starym mieszkaniu. Skoczyłem za przewróconą wersalkę. Dużo ochrony mi to nie da, ale przynajmniej będę miał czas by się chwilę zastanowić. Uciec nie mam za bardzo jak. Przez okno wyskoczyć? Nie dam rady. Raz, że nie dobiegnę, dwa, że wysoko.

Nie było jednak sensu tkwić w miejscu.

Wyskoczyłem zza kanapy, kierując się w stronę drzwi. Sześć spluw zwróciło się w moim kierunku. Sześć palców pociągnęło za spusty. Ale ja byłem szybki. Nie tak szybki jak kule, ale podejrzewam, że strzelcy byli trochę ślepi.

Przeraźliwy ból przeszył moją kostkę. Gorące żelazo wbiło mi się w skórę. Nie mogłem zapanować nad odrzutem. Poleciał do przodu i wyłożyłem jak długi na podłodze. Hej! Kula to nie piść!

Nie zdążyłem się podnieść, gdy do mnie doskoczyli i przydusili do ziemi. Któryś musiał walnąć mnie kolbą pistoletu w głowę. Świadomość zgasła, zatopiłem się w ciepłej czerni...

2

Nie miałem pojęcia czego ode mnie chcieli. Znajac moje szczęście, goście pewnie pomylili mieszkania i porwali mnie przez przypadek.

Pociąg jechał w stronę Londynu. Dlaczego zabierali mnie z mojego rodzinnego Manchester? Tego też – a jak – nie wiedziałem.

Rozejrzałem się po przedziale. W tamtej chwili znajdowało się w nim jedynie trzech z pięciu facetów, którzy mnie napadli. Dwaj poszli do wagonu restauracyjnego. Jeden spał, opierając głowę o szybę.

Nawet ranny miałem szansę.

Zerwałem się w jednym momencie. Przywaliłem łokciem siedzącemu najbliżej mnie mężczyźnie i nie zważając na bluzgi rzuciłem się w stronę korytarza. Nie zastanawiając się wiele, pomknąłem w lewo.

Zatrzymałem się gwałtownie. Na drugim końcu korytarza, jakiś mężczyzna przykleił do ściany matę, która chwilę później przemieniła się w drzwi. Pędem ruszyłem w tamtą stronę i przekroczyłem próg za

owym mężczyzną. Pal licha, może tak uda mi się uciec? – zastanowiłem się.  
Znalazłem się w ciemności, a potem wszystko zawirowało.  
Tuż za mną przez drzwi przeszła młoda dziewczyna. I nikt więcej. Zgubiłem swoich podejrzanych prześladowców.  
I wtedy zacząłem spadać.

3

Upadłem twardo na plecy i rozejrzałem się z ciekawością. Musiałem przenieść się do innego wymiaru, ponieważ nagle znalazłem się na plaży.  
Nie mając nic innego do roboty postanowiłem się poopalać.  
Nagle ktoś zasłonił mi słońce.  
-Niech się Pan przesunie, dobry człowieku, tu się ludzie opalają...  
Człowiek zasłaniający mi słońce zamachnął się, a instynkt podpowiedział mi "uciekaj!". W momencie, kiedy przeturlałem się na brzuch, wielka stalowa maczuga spadła na miejsce, gdzie przed chwilą miałem głowę.  
Chyba ta plaża należy do tego gościa... Prywatna znaczy.  
-Pokój! Nie miałem złych zamiarów! - krzychałem, ale chyba nie zrozumiał - Peace! Peace! - z szalonym rykiem rzucił się w moją stronę. "Dziki człowiek" pomyślałem i wziąłem nogi za pas. W takiej pozycji nie wygodnie się biega, więc powróciłem do pozycji człowieka cywilizowanego i zacząłem zwiewać.

4

Znalazłem się w dziwnej krainie. W innym wymiarze... Opalać się nie wolno, ludzie są dzicy... ech... życie jest nie fair.  
Dziki człowiek gonił mnie z uporem sportowca chcącego wygrać olimpiadę.  
Nie chciałem walczyć. Facet bez problemu pokonałby niedźwiedzia, a właściwie dźwiedzia, bo czemu "nie"?  
Nie miałem wyboru... Wyrwałem gałąź. Zamachnąłem się i uderzyłem. Troszkę go to uderzenie oszołomiło, szczerze mówiąc. Podniósł się jednak od razu. Zamachnął i uderzył. Zgrabnie odskoczyłem. Zdziwiłem się nie mało - by rozbijać taki kawał żelastwa potrzeba czasu...  
Uderzyłem ponownie. Sparował i nie pytając mnie o zdanie, przeszedł do kontrataku. Jak to mówią: najlepszą obroną jest atak... Skoczyłem, uderzyłem, powaliłem. Zupełnie jak Cezar. Nie... Veni, vidi, vici... Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem... No, ale trochę podobnie.  
Tak, czy siak, mój przeciwnik stanął i krzyknął:  
- CHODŹCIE SIOSTRY I BRACIA!! TO ON! Wreszcie przybył! To ON!  
Z drzew zaczęli schodzić ludzie. Niektórzy byli pomalowani na zielono, brązowo, lub czarno. Wszyscy niewidoczni. Wszyscy pokazywali sobie mnie palcami i szeptali: "To ON!"  
Tylko, że... jaki "on"?  
Miałem ochotę krzyknąć, że palcami się nie pokazuje.

5

Szliśmy lasem. Ciekawość zwyciężyła i zapytałem:

- Co to za las?

- Wegas – odpowiedział jeden z tubylców i nakazał mi milczeć.

W wiosce postawiono mnie przed oblicze Wodza.

-Witaj, Kiwikidolusie!

"Kiwikidolusie ? " - pomyślałem - "spoko".

-Kiwikidolusie - kontynuował- Zapewne masz dużo pytań. Jak już pewnie zostałeś poinformowany jesteś wybrańcem. Mieliśmy już dużo wybrańców, niestety wszyscy ponieśli klęskę. Jesteś... zaraz -spojrzał na glinianą tabliczkę - dwu milionowym trzytysięcznym pięćset jedenastym wybrańcem z kolei.

- Eee...ale...co...właściwie...dlaczego... - wybelkotałem, bo nie mogłem się zdecydować, które pytanie zadać pierwsze.

-Wszystkie znaki zapytania kieruj do Grzybiarza.

Podążyłem wzrokiem za wzrokiem wodza. Zobaczyłem człowieka niskiego wzrostu , opartego o drzewo, z jedną stopą na korze i rękoma założonymi na piersi.

-O co tu właściwie chodzi, Grzybiarzu ?

-O co chodzi pytasz?? To ja Ci powiem o co chodzi! Na pewno nie chodzi o ten tramwaj co nie chodzi. Chodzi o to, o co chodzi... Bo widzisz niektóre rzeczy chodzą i nie chodzą. Na przykład zegar chodzi i bije. Chodzić i bić może też bokser. Ale nie chodzi mi tu o takiego psa... No właśnie... Ale schodzimy troszkę z tematu. W każdym razie każdy z nas chodzi. I silniki też chodzą. Wszystko obok nas chodzi, albo pełza... No... albo i nie... Ale chodzi o to o co chodzi... Rozumiesz już o co chodzi??

- Taa... - odparłem. Tak naprawdę nadal nie wiedziałem, ale głupio było się przyznać...

6

Przyszedł po mnie człowiek o wyglądzie zgniłego jabłka, które trzyma się jakimś cudem na gałęzi...

Oznajmił mi , że ktoś na mnie czeka w namiocie Wodza. Po drodze stwierdził , że będę musiał wykonać trzy zadania.

W namiocie znajdowały się cztery osoby :

Wódz, ten mały, dziwny człowieczek każący się nazywać Grzybiarzem, Thor - kowal, trudzący się w wyrabianiu najrozmaitszych broni, oraz odwrócony do mnie człowiek ubrany w czarną marynarkę. Strój bardzo nie odpowiedni, na warunki dżunglowe. Włosy sięgały mu do pasa. Odwrócił się.

Nie! Tylko nie teraz! Nie tutaj! Nie ON...!!

-Witaj... - powiedział.

7

Zawsze ubrany w biały (lub czarny, zależnie od nastroju), drogi garnitur, perfekcyjnie posługujący się bronią białą. Z węzłem w kieszeni, co tu oznacza z kataną schowaną w lasce. Ostrożność przede wszystkim. Największy przemytnik borni na świecie. Podsumowując: okropnie niebezpieczny.

A teraz znowu się spotykamy. Stał, tu, przede mną, tylko, że... inny... lepszy...

Wódz odchrząknął.

- Kiwikidolusie... Niestety, zanim staniesz do walki z Patykolikonsusem musimy cię sprawdzić...

Wykonasz trzy zadania. Wybierz sobie broń.

Podszedłem do Thora. Za wielkiego wyboru nie miałem , tylko trzy bronie- Młot, Młot i Młot...i jak tu wybrać ?

8

Wybrałem młot.

- Czas zapoznać się z regułami Kiwikidolusie. - zaczął Wódz. Po czym tłumaczył mi owe reguły. Z grubsza chodziło o to, byśmy się nie pozabijali. O trwałych urazach nie było mowy. Pierwszym zadaniem było... pokonanie Oliego Alpha. Mogłem się tego spodziewać, skoro go tu ściągnęli... Wybrał sobie ciężką laskę (tak naprawdę, laska nie była ciężka, no może troszkę, ale na pewno lżejsza niż mój młot... A poza tym "ciężka laska" ładnie brzmi).

Stanęliśmy naprzeciw siebie. Kiedy ja zrobiłem krok... on również. Uderzył, a ja odsunąłem się. Laska wbiła się w ziemię, pociągnąłem go z buta. Przewrócił się i kopnął mnie w dół podkolanowy. Nie będę mógł ruszać nogami, przez najbliższe kilka minut. Nogi miałem z głowy...

Oli nigdy nie grał fer. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął pistolet.

- Kurcze... zabawna sprawa... - powiedział i...

... pociągnął za spust.

9

Lecz pistolet nie wypalił...

-Głupi szmelc... U ruskich... gwarancję... psuje... jest... potrzebny...-mamrotał Oli Alpha.

Wstałem (z bólem nóg wam to piszę).Nie chciałem dać mu szansy. On nigdy mi jej nie dał...Podniosłem z ziemi młot i uniosłem nad głowę.

Słońce świeciło. Miałem pełno piasku w butach... Nienawidzę mieć piasku w butach...

Jasne niebo przerwał krzyk. Młot opadł... Krzyk się urwał...

10

Numerem z młotem wykończyłem go całkowicie. Psychicznie, oczywiście. Perspektywa szybkiej śmierci, przez roztrzaskanie czaszki sprawnie go przeraziła.

Zatrzymałem młot parę centymetrów przed jego twarzą. Otworzył jedno oko, potem drugie. Robiąc zeza popatrzył na młot i zamrugał. Wystawił język pokazując jaki jest fajny. Śmiech niósł się daleko po lesie, a leśnie zwierzęta przekazywały sobie informację, że szaleniec przybył zakłócać im spokój. Oczy nabiegły Oliemu krwią. Obłęd odbijający się w nich zawsze - pogłębił się, o ile jest to możliwe. Śmiech cichł, przeobrażał się, w płacz, a następnie w ciche łkanie.

- Wystarczy! – zawołał wódz. Dniwecniur skupił się, a czarna dziura pochłonęła Oliego Alpha. Czarodziej podszedł do mnie. Otworzył się portal. Weszliśmy.

Znaleźliśmy się na jakimś zapomnianym przez Boga osiedlu.

- Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

Wtedy dojrzałem rysunek na jednym z murów. Przedstawiał powieszzonego człowieka. Napis głosił:

SWOBODA WITA

11

- A te wasze dziury.... – zacząłem.

- Portale – przerwał niekulturalnie Dniwecmir.

- Tak... Portale... To chyba prąd zżera... Bo u mnie z kasą to cieniutko ostatnio...eee...tego...

- Spoko! Jak przeżyjesz te dwa pozostałe zadania i zaliczysz test...

- Test?! Jaki znowu test? Miały być trzy zadania! Żadnego testu nie miało być... W umowie nic nie było napisane...

- Umowie? Co ty znowu Kiwi Kidzie gadasz? Jak chcesz to ja zaraz... – machnął ręką. W dłoni mej pojawiła się kartka papieru. Napis u góry głosił „Spis rzeczy potrzebnych na Święta”.

- Eee... Co to w ogóle jest...? – zapytałem pokazując Czarodziejowi kartkę...

- Nosz... - machnął ręką, a „Spis potrzebnych rzeczy na Święta” zmienił się w umowę.

W kieszeni miałem długopis.

- Nic nie podpiszę! – krzyknąłem. Zwinąłem papier w kulkę. Rzuciłem nią oraz długopisem w tył.

- ARRGH! – ktoś za mną krzyknął, zapewne dostał długopisem.

- Sorry! – przeprosiłem – Na czym skończyłem? A. Ty mówiłeś, że jak przejdę przez trzy zadania, napiszę test...

- I pokonasz Patykolususa to rachunek za prąd wyślemy do Badyła zwanego również Patykiem. I jeszcze Ci kasę za drzwi odda.

- Jakie drzwi?

- Nie...nic...

- A test...?

- Gratis taki.

- A.

- Ale nam czas uciek! A ty musisz wykonać drugie zadanie!

Wzleciał w powietrze, stał się ogromny, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie

- SPIESZ SIĘ!!!

Rzucił we mnie kulą ognia. Co jest?

12

Uciekałem przed ognistymi kulami, piorunami, śnieżkami, strumieniami energii.

Spieszyłem się, a o to chyba z grubsza chodziło.

Zatrzymałem się przed zrujnowaną kamienicą. Znałem ten dom. Kiedyś mieszkał tu Grzegorz. Grzegorz nazywał się Grzegorz, ale wszyscy nazywali go Grzesiek. Tak więc, Grzesiek był łysy jak kolano, ubierał się w dresy, ale był fajnym kumplem, chociaż strasznie nerwowym. Grzegorz to strasznie nerwowy goście. Jak Grzesiek był mały został wezwany do gabinetu dyrektora szkoły, za wyrzucenie nauczycielki przez okno. Po krótkiej pogawędce, rąbną dyrka krzesłem.

Kiedyś poszedłem do Grzesia na imprezę. Ubrany jak zwykle w dres Pumby witał gości. Swoją gustowną łysinę nakrył czapką Odidososa. Postarałem się nawet o prezent dla niego. Zapominając o niewrodzonej łysinie kolegi, kupiłem mu grzebień. Wtedy pierwszy raz wyleciałem przez zamknięte drzwi... Ach... wspomnienia...

Ciekawe po co mnie tu sprowadzili?

Otworzyłem drzwi i zagłębiłem się w zimną czerń klatki schodowej...

13

Wpadłem do dwunastki. Przebiegłem przez korytarz. W dużym pokoju znalazłem Grześka klęczącego na dywanie, który pamiętał lepsze czasy. Do skroni G. miał przystawiony pistolet. Już chciałem skoczyć i odebrać mu broń, gdy spostrzegłem, że to nie on ją trzyma. Człowiek stojący dotychczas w cieniu zbliżył

się i oświetlił go snop światła. Ubrany na czarno z drwiącym wyrazem twarzy. Mój bliźniaczy brat.

Zmrużyłem oczy ze złości.

- Obiecałeś! – huknąłem.

- No wiesz... Lajf is brutal... To moja praca. Nie wiedziałem, że Cię przyślą... Jeszcze nikomu nie udało się uwolnić tego dresa... - walnął Grzesia kolbą pistoletu. Trochę za mocno.

- Arrghh!

- Oj, sorki. Nie chciałem tak mocno.

Więc to było moje zadanie... Uwolnić Grzeska. Mój brat to nie Badył czy Oli Alpha. Wyższa półka, że tak powiem. Co będzie następne? Smok?

Nagle pod wpływem jakiegoś impulsu, zacząłem krzyczeć.

- Łysa Pała!

Rozwścieczony Grzegorz dorwał bejsbola i przywalił bratu...

Plan podziałał. Brat był wyeliminowany na jakiś czas. Miałem spokój. Głęboko odetchnąłem.

... po czym rzucił się na mnie. Oto ludzka wdzięczność.

14

Chwył mnie i przygwoździł do ściany, dusząc bejsbolem. Mogłem się wyplątać i skutecznie go unieruchomić, ale wtedy wnerwił by się jeszcze bardziej. A wtedy przemieniłby się w wielkiego zielonego gościa w fioletowych portkach, krzyczącego coś w stylu „Hulk niszczyć! Hulk być głodny!”... Dziwnym nie jest, że wolałem tego unikać.

Nagle wyraz twarzy Grzesia się zmienił... Od „zaraz cię zabiję gnoju, i kto jest łysy?!” do „Ej, co się dzieje?”. Wykorzystałem chwilę dezorientacji przeciwnika. Chwyłem go za nadgarstki odrywając kij od mojej szyi, i uderzyłem czołem.

Kiedy ja łamałem mu nos, mój Brat pociągnął go do tyłu, czego skutkiem był bolesne spotkanie dresa z podłogą.

Wyskoczyliśmy przez okno, gdyż Grzesiu szybko nabierał koloru zielonego. To znaczy, stał się wielkim, niemłym, zielonym gościem.

15

Wyszliśmy z portalu.

- O. Błąd w scenariuszu!

Znaleźliśmy się w przytulnym zagajniku u stóp mało przytulnej góry. Góra był duża i z pewnością gdybym z niej spadł, zabiłbym się.

- Dzięki zdolności dedukcji, dedukuję, że nie mieliśmy się tu znaleźć... - wydedukowałem drapiąc się po brodzie.

- Właściwie... Widzisz szczyt tej góry, o tam...? No... Mały spacerek dobrze nam zrobi.

Nie, no... przecież to jakiś kiepski żart jest...

Za plecami usłyszałem cichy szmer.

Otoczono nas. Ludzie z toporami, mieczami, dzidami i masą innej białej broni. Ja nie miałem nic, gdyż swój młot zgubiłem podczas ucieczki przez Swobodę... Pozostało mi wierzyć, że Dniwecnir ma jakieś dobre czary.

- Nadzieję, że masz jakieś dobre czary... - szepnąłem.

- Słyszałeś, że nadzieja jest matką głupich?

-Tak... Słyszałem również, że każda matka kocha swe dzieci...

Był duży. Nazywał się Afsngsjngsfuisbgfaby, chociaż jego imię zmieniało się z każdą sekundą, więc nikt nie mógł zapamiętać jak się właściwie nazywa...

Podążał z zadziwiającą szybkością, jak na taki ogrom. Najgorsze było to, że podążał w naszą stronę...

Wiecie co to kolos? Nie? To był kolos...

Musiałem radzić sobie sam. Dniwecnr bez magii był, przepraszam za wyrażenie, bezużyteczny. Jak okno bez widoku...

Gdyby nie ludzie otaczający nas, najzwyczajniej w świecie zacząłbym uciekać...

- Ej, patrzcie tam! – krzyknąłem a kilkanaście głów obróciło się w przeciwną stronę. Ruszyłem z jedyńki, od razu przechodząc na bieg szósty. Oszołomiony czarodziej ruszył za mną. Od razu z szóstki...

Kolos Kcjnasjbfoasngfaigagsfdg zawył. Nie dlatego, że właśnie uciekał mu obiad, lecz kolejny z jego poddanych zapomniał jego imienia. W ogóle nie mógł tego zrozumieć... Przecież w ciągu jednego dnia ma tylko jakieś 43250 imion... „Te ludzie to som jednak głupie...” – pomyślał i zjadł jednego z oficerów.

Wspinaczka na górę Łubudubudu była monotonna i męcząca. Wierzchołek zbliżał się bardzo powoli. Czarodziej kumulował siły. Magia wracała...

Szczyt.

Płaska powierzchnia zastała zagospodarowana. Stał tam wielki labirynt, mogłem się założyć, że zwędzili go Minosowi.

Usiadłem ciężko. Pałący ból przeszywał moje płuca przy każdym oddechu.

- Kiwikidolusie... - wydyszał Dniwecnr – nawet ja nie wiem co Cię tam czeka...

Z labiryntu wiało odorem rozkładających się ciał i kału. W końcu Minotaur, bo przypuszczałem, że jego tam znajdę, musiał gdzieś załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne...

Wszedłem z bijącym mocno sercem. Ból w piersi powrócił. Oparłem się o ścianę, która okazała się być z tektury. Uśmiechnąłem się, gdy szalony pomysł wpadł mi do głowy.

Nie zważając na zakręty, szedłem na wprost, przebijając się przez kolejne ściany labiryntu, niczym taran. To chyba jednak nie jest legendarny labirynt króla Minosa... Dobrze, że się nie zakładałem, bo to jakaś chińska podróbka. Albo wersja dla ubogich.

-No, to zrobione – powiedziałem dochodząc do środka budowli.

- MUUUUUUUUUUUU! – za mną stał człowiek z głową krowy.

-MU! – ryczał krowotaur.

- Zainwestuj w tik taki koleś, bo masz nieświeży oddech! – wyszeptałem zasłaniając usta i nos.

- Mu?

- Sorki, nie rozumiem po muczemu... - przeprosiłem.

- Widzisz? – zapytał przechodząc na mowę ogólną. – jakie jest to parszywe krowie życie? Człowiek jest trochę odmienny i już go w labiryncie jakimś zamykają... Jak byłem mały – kontynuował – zjadłem kawałek skażonego mięsa. A rodzice ostrzegali, „panuje choroba szalonych krów! Bla,bla,bla...”, ale nie słuchałem. W ogóle zobacz... Jakie ja mam warunki?! Bez bieżącej wody, WuCe, ogrzewania... I zamknięty w labiryncie... na zawsze... No i jeszcze jadłospis w ogóle nie urozmaicony... Ludzkie mięso

na śniadanie, obiad i kolację... Blee... Snif...Snif...!

- Nie łam się ziom. Przynajmniej ładne monologi nauczyłeś się układać... I spójrz, jakie ładne przejście ci w ścianie wyciąłem...

- Eche... Dzięki Maj-Blak-Frend! – powiedział krowotaur i z wywieszonym jęzorem i szczęściem w oczach wyszedł na spotkanie świata.

- Ale ja jestem biały...

- A ja jestem Edek! – krzyknął jeszcze i zniknął.

Wróciłem do Dniwecnira.

- Kiwikidolusie! Właśnie przebiegła tędy wściekła krowa!

- Taak. Wiem.

Stałem na krawędzi góry Łubudubudu i popatrzyłem na rozpościerający się pode mną las.

-Spadaj Kiwikidolusie.

- Co? – obróciłem się i popatrzyłem na czarodzieja.

- Spadaj. – powtórzył popychając mnie. Straciłem równowagę i zacząłem spadać, zgodnie z życzeniem maga...

19

Leciałem. Choć bardziej trafnym określeniem było by tu – spadałem.

Głową wbiłem się w piasek. Chwiejnie wygramoliłem się z dołu o głębokości około 5 metrów i siadłem na niewidzialnym krześle. Potrząsnąłem głową by oprzytomnieć. Widziałem gwiazdy. I różowe słonie.

Przede mną majaczył jakiś stolik. Podniosłem z niego plik kartek i mimo, że wszystko wirowało zdołałem jakoś przeczytać słowo „Test”.

Mimo ogromnej chęci puszczenia pawia zabrałem się do pisania. Test składał się z tekstu źródłowego i pytań do niego.

20

Zadanie 1 i ostatnie. Przeczytaj uważnie poniższy wywiad i odpowiedz na pytania.

-Dzień dobry Panie Henryku!

- Elo ziomy. Pozdrawiam wszystkie laski!

-Tak...em...tego... Jest pan podobno jednym z najpopularniejszych pisarzy świata...

- Przez grzeczność nie przeczę.

- Jakie i kiedy nagrody pan zdobył, jeśli można spytać?

- Nie można.

-Eee...

- Nie, żartowałem! W 1905 roku zdobyłem nagrodę Bobla za powieść historyczno-humorystyczną „Qto Vadzi”.

- Wiele pan podróżował. Czy te podróże natchnęły pana do napisania jakiś utworów?

- W Ameryce napisałem „Świcznika”. W Afryce natomiast „W Buszu i na wsi”.

- Jaki jest pana ulubiony gatunek literacki?



- Oczywiście hard S-F.
- Urodził się pan w 1846 r. a zmarł w 1916 r. Jak się pan czuje?
- Czuję, że żyje!
- Dziękuję za udzielenie wywiadu.

Rozmowę z duchem Henryka S. przeprowadził Jan S.

21

- Zdał... - powiedział Thor. – I co teraz?
- Teraz... - zaczął Wódz – Kiwikidolus zginie...

22

- Hej, hej! - krzyczał Dniwecnir podchodząc do mnie
- Nie odzywam się do Ciebie!
- Ej, no człowieku! Przecież to wszystko było dla twojego dobra!
- Chciałeś mnie zabić dla mojego dobra?!
- No pewnie! Znaczy przecież nie chciałem cię zabić! Jak bym chciał cie załatwić, to już dawno byłbyś załatwiony!
- no... w sumie racja.
- A jak tam Ci poszedł test?
- Zdałem. - powiedziałem.
- Wierzyłem w Ciebie. W końcu jesteś De Czolsen Łan.
- Ma się ten urok osobisty...
- Taak... Chodź muszę Ci coś pokazać.

Poszliśmy. Znaleźliśmy się w zielonym miejscu. Duże drzewa pochylone ku sobie tworzyły coś na kształt łuku zasłaniając błękitne niebo. Zwisające luźno konary sięgały mokrej, po wczorajszym deszczu, trawy. Przed nami wznosiła się, ku zasłoniętemu niebu świątynia. Zbudowana z kamiennych bloków z wrytymi, nieznanymi mi, starożytnymi wzorami. Z ciemnego wnętrza wiało chłodem.

- To tu - powiedział Dniwecnir.

W środku świątyni było ciemno, lecz jej środek oświetlało światło wpadające przez dziurę w suficie. Stał tam kamienny stół. A na stole...

- O. Tu jesteście. - powiedział wchodząc do, nazwijmy to, budynku Grzybiarz -Wódz...

Reszta słów Grzybiarza nie trafiła do mnie. Nadal, cielęcym wzrokiem wpatrywałem się w to co stało na stole. A była to Dłoń Glorii, The Hand of Glory...

Pędząca strzała o milimetry minęła Grzybiarza i z ogromną siłą trafiła mnie w ramię, zwalając z nóg...

23

Strzała tkwiła głęboko. Wzdrygnąłem się, przypominając sobie jakie były metody leczenia w średniowieczu. A czasy te były zbliżone do czasów świata, w którym się znalazłem. Uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, jak ten świat się nazywa.

Grad strzał zalewał nas tak Potop Szwedzki.

- Co to ma być?! Znowu troszczysz się o moje dobro?

- Tym razem nie mam z tym nic wspólnego! - odkrzyknął Dniwecnr.

- Wiesz czym jest Dłoń Glorii?

- To zasuszona dłoń wisielca, zatopiona w wosku, z której powstaje świeca. Właściwie użyta otwiera wszystkie drzwi, unieruchamiając mieszkańców domu. Daje światło tylko temu, który ją niesie.

- Coś w tym stylu - potwierdził czarodziej. - Trochę eksperymentując zrobiłem z niej jeszcze potężniejszy artefakt! Teraz może przenieś nas do dowolnego miejsca w dowolnym czasie w każdej rzeczywistości czasu równoległego!

Dopiero teraz sytuacja wydała mi się idiotyczna. Jesteśmy na linii ognia, a gadamy o jakiejś zaschniętej dłoni. Kolejna strzała przemknęła mi przed oczami. Uff... Milimetry. Poderwałem się i skoczyłem ku Dłoni.

- Kiwikidzie! NIE...!!!!

Czułem jak Dniwecnr chwyta mnie za ubranie, lecz było już za późno. Dotknąłem Dłoni. Pomyślałem o Domu. Zabłyśło oślepiające zielone światło. Świat zawirował, a ja zostałem wessany. Czyżby Los wyciągnął do mnie pomocną dłoń?

24

Obudziłem się na podłodze.

Więc to wszystko było snem? Te wszystkie przygody? Nigdy nie spotkałem Dniwecnira, Wodza ani Grzybiarza? Nie walczyłem z Grzesiem ani nie pisałem żadnego testu? Czyżby to wszystko, łącznie z Dłonią Glorii było tylko wymysłem mojej chorej wyobraźni?

Wstałem z ziemi i otrzepałem się z kurzu. Omiotłem pokój nietrzeźwym spojrzeniem.

Nie. To wszystko była prawda. Albo nadal śniłem. Pod ścianą leżał Grzybiarz, a pod stołem Dniwecnr. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Tak to był mój świat. Samochody trąbiąc jeździły po ulicach. Ludzie byli normalnie ubrani, a powietrze właściwie zanieczyszczone.

Pchany nagłym impulsem spojrzałem na szafkę obok łóżka. Tam, lekko świecąc, stała Dłoń Glorii...

25

- ... i to już koniec. – powiedziałem, zakończywszy moją długą i niesamowitą opowieść.

Mike popatrzył na mnie dziwnie. Pociągnął długi łyk piwa i zapytał:

- Więc... eee... porwali cię, a ty im uciekłeś korzystając z PRZENOŚNYCH DRZWI?

- Zgadza się – potwierdziłem i też się napiłem. Rozejrzałem się po knajpie w której się spotkaliśmy. Nie dostrzegłem jednak niczego niepokojącego. Porywacze chyba dali sobie spokój i – mam nadzieję – więcej nie będą mnie nękać. – Co o tym sądzisz?

- Szczerze? ŚNIŁO CI SIĘ.

Koniec.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AnonimowyGrzybiarz, dodano 01.12.2010 09:26

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).